

Wrzesień



Fot. Clint Losee, pinterest.

Florian Śmieja

Kiedy w piątek 1 września 1939 roku o brzasku alarm przeciwlotniczy spędził nas do piwnicy domu przy Placu Karola Miarki w Katowicach i słychać było wybuchy bomb na lotnisku, jak się później miało okazać, kuzyn z ważną miną instruował krewniaków ze wsi, którzy się u niego schronili, jak należało się zachować w drastycznych sytuacjach. Powszechnie spodziewano się ataku gazowego, a wtedy pouczał, trzeba było posusiać chusteczkę i przyłożyć do nosa i ust. Zapamiętałem sobie tę procedurę. Dosadność jej nie pozbawiona pewnej dozy komizmu, nie dała o sobie zapomnieć przez całe życie.

Po południu tego samego dnia, kiedy stało się jasne, że wojska niemieckie

przekroczyły granice Polski, znalazłem się na dworcu kolejowym, by łapać pociąg jadący na wschód, w pierwszym rzędzie do Krakowa.

Nie wiem, jak to się stało, że pojawił się nagle znajomy ojca z sąsiedniej wsi, architekt Wieczorek, zatrudniony pod Stryjem, który wracał do pracy i czasowo przebywającej tam rodziny w huculskiej wsi Majdan Drohobycki. Zgłosił gotowość zabrania mnie ze sobą. Byłbym daleko od frontu, bezpieczny. Z błogosławieństwem matki, pragnącej ratować najstarsze dziecko, w mundurku gimnazjalnym, z małą walizeczką, nieodłączną lśniąca, niklowaną wiatrówką marki diana, złotym kieszonkowym zegarkiem ojca i banknotem stułotowym w kieszeni pojechałem w nieznaną.

Na peronie panował wyjątkowy tłok. Kiedy podstawiono wagony, tłum runął na nie bez ładu i składu. Każdy zdał się imać tej deski ratunku przeczuwając, że może już nie być następnej okazji. Ten, kto nie miał większych bagaży, poruszał się swobodniej, właściciele wielkich ciężarów mordowali się, by je pomieścić w przedziałach już zatłoczonych do granic pojemności. Pamiętam, jak mężczyzna obarczony pół tuzinem bagaży mozolnie je pakował do przedziału nie zważając na protesty stłoczonych pasażerów, którzy już utyskiwali z powodu braku miejsca i w końcu widząc kolejne walizki wkładane im na głowy, otworzyli drzwi z drugiej strony i wyrzucali bezceremonialnie bagaże na przeciwległy peron.

Po długim postoju pociąg wreszcie ruszył z dworca i wyjechał z miasta a wnet potem i ze Śląska, kierując się przez graniczną Przemszą na wschód do Małopolski. Mijaliśmy pociągi wojskowe z żołnierzami pełnymi animuszu. Na trójnogach sterczały karabiny maszynowe mające chronić przed atakami lotniczymi. Na bezchmurnym niebie ciągnęły eskadry srebrzących się samolotów. "Te srebrne samoloty są czeskie", pocieszali się ludzie, chcąc jakoś dezawuować potęgę nieprzyjaciela.

Z wysokiego nasypu, na którym zatrzymał się pociąg, byliśmy świadkami bombardowania Krakowa i niskich, krótkich lotów polskich myśliwców nie chcących się narażać liczniejszemu i szybszemu nieprzyjacielowi.

Na dworcu krakowskim było ludno, ale ludzie stali jeszcze posłusznie przy kasach po bilety. W jednym z ogonków zauważyłem swojego profesora matematyki z

Tarnowskich Gór, Brońca. Załadowaliśmy się do pociągu jadącego do Lwowa. Był przepełniony. Zaraz po wyjeździe oglądaliśmy leżący obok toru zbombardowany pociąg, ciała leżały nietknięte przez nikogo. Samoloty latały niebezpiecznie blisko. Jechaliśmy wolno dalej. Często, kiedy pociąg nasz musiał przystawać, pasażerowie gnali w pole biegnąc jak szaleni jak najdalej od torów w obawie przed atakiem. Przypominam sobie, że jadący z nami umundurowani wojskowi przodowali w tych biegach. Potem wracaliśmy do wagonów i ruszali dalej.

Nadeszła noc, a ponieważ jechało z nami wielu Żydów, zaczęły się w całym pociągu głośne modły szabasowe i śpiewanie. W ciemności, w atmosferze nieznannej religijnej euforii zbliżaliśmy się do Lwowa.

Wyszedłem z Wieczorkiem na miasto. Oglądaliśmy pierwsze trafione przez bomby kamienice, bodaj przy ulicy Krótkiej. Najwidoczniej chybiły celu. Były ofiary wśród ludności cywilnej. Wróciliśmy na dworzec, a mając czas do odejścia pociągu do Stryja, zamówiliśmy obiad. Kiedy jedliśmy z apetytem ciepłą strawę, zawyły syreny, a potem rozległo się terkotanie karabinów maszynowych obrony przy hali dworcowej. W panice razem z innymi, pozostawiwszy wszystko bieглиśmy do schronu. Kiedy alarm minął, nikt już nie inkasował pieniędzy. Pod wieczór odjechał lokalny pociąg do Stryja. Wyszliśmy w szczerą noc na małej stacyjce, której nazwy nie pamiętam. Opadło nas natychmiast kilku mężczyzn uzbrojonych w długą broń palną. Obawiano się dywersantów i szpiegów. To lokalna straż obywatelska czuwała nad bezpieczeństwem. Czekaliśmy razem z nią do rana na dreżynę przedsiębiorstwa (Skarbofermu?), która nas zawiozła do odległej wsi na tereny budowy.

Dzieci i żona Wieczorka ucieszyły się ogromnie z przyjazdu ojca. Byli teraz razem, a do dyspozycji mieli mały samochód marki Steyer, którym odbyłem pierwszą w życiu przejażdżkę prywatnym samochodem po rozległej górskiej wsi.

Zamieszkałem w chacie jednego z zaprzyjaźnionych gospodarzy. Płaciłem drobną kwotę za stancję i kupowałem sobie chleb, masło i mleko rozmieniwszy banknot. Zacząłem oszczędne życie czternastolatka w szerokim świecie. Górska, zalesiona okolica łądziła sielankowym krajobrazem i spokojem, choć już dochodziły wieści o podpaleniach i mordach, o ukraińskich bandach napadających na gospodarstwa. Na niebie pojawiały się niekiedy niemieckie samoloty zwiadowcze, ale przelatywały

dalej. Słuchaliśmy radia. Jego meldunki były tajemnicze i niejasne. Zaczęły szerzyć się plotki, domysły i zmyślenia.

We wsi, w której był tartak i budowano kościół katolicki, pojawiło się trzech urzędników pocztowych pracujących na Śląsku. Skorzystali oni z przymusowego pobytu, by zamówić u lokalnego szewca oficerki. Za te śliczne buty z cholewami z cieniutkiej skórki zapłacił jeden z nich, dobrze pamiętam, woreczkiem z grosikami w sumie 60 złotych. (Nie wiem, co było na terenach zajętych przez Sowieców, ale Niemcy zdewaluowawszy polskie pieniądze, pozostawili przez pewien okres wartość grosza i bodaj dwugroszówki).

Parotygodniowa sielanka w krainie odciętej od świata nie mogła jednak trwać bez końca. Wieści o podpalaniu przez Ukraińców gospodarstw polskich zaczęły niepokoić, a wreszcie gruchnęła wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do wschodniej Polski.

Wieczorek pospiesznie spakował rodzinę, na wolne miejsce w samochodziku wziął swojego czeladnika. Mnie kazał wracać na własną rękę. Niespodziewanie jednak zgodził się zabrać moją niklowaną wiatrówkę i, o dziwo, jakimś cudem dowiózł ją rodzicom!

Dla mnie zaczęła się prawdziwa odyseja. Przyłączyłem się do pocztowców ze Śląska, nasz kierunek wędrówki był ten sam. Nie chcieliśmy za żadną cenę znaleźć się w mocy Sowieców. Miałem przy duszy złoty zegarek i osiemdziesiąt złotych. Wynajętą furmanką wyjechaliśmy w kierunku Borysławia i Drohobycza. Jechaliśmy rankiem na północny zachód czując, że załamuje się pozorny spokój. W przysiółkach i wsiach, przez które wypadło nam jechać, krążyli ludzie w podejrzanym ożywieniu. Kiedy przystawaliśmy, wyrastali spod ziemi chłopcy, którzy bezceremonialnie chwyтали konia za uzdę wołając, że to ich „kiń” i wszczynali awanturę, z której jakimś cudownym zarządzeniem udawało nam się uwalniać i jechać dalej. Pod Borysławiem w lesie na daremno krzyczeli na nas Ukraińcy żądający, byśmy się zatrzymali. Pocztowcy kazali jechać szybciej, a w pewnej chwili, kiedy bojówka ukraińska zaczęła ścigać wóz, w ich ręku pojawiły się pistolety, które Ukraińców powstrzymywały na dystans, choć nadal ciągnęli za nami. Najwidoczniej nie mieli amunicji do strzelb, którymi wymachiwali, więc uciekliśmy im z duszą na ramieniu i z ogromną ulgą zobaczyli,

kiedy wyjechaliśmy z lasu, niemiecki posterunek. Nie zapomnę wyrazu zdumienia na twarzy Niemca, który zapytawszy rutynowo, czy posiadamy broń, zobaczył dwa okazałe pistolety, które pocztowcy mieli w pogotowiu na wozie. Po rozmowie, urzędnicy znali niemiecki, oddaliśmy broń, a w komendanturze otrzymaliśmy zaświadczenie na cztery osoby jadące na Śląsk.

Nad Drohobyczem stały nadal jeszcze czarne chmury płonącej rafinerii zbombardowanej na początku wojny. Zaopatrzywszy się w chleb spędziliśmy na kwaterze noc słuchając strzałów patroli, strzegących zakazu poruszania się w nocy.

Kolejną furmanką pojechaliśmy do Sambora i Chyrowa. Stamtąd zajechaliśmy do Sanoka. Przez Krosno trafiliśmy do Jasła. Zawieziono nas tam jakąś ciężarówką. Niemiecką? Pamiętam tylko, że kiedy zeskoczyłem z wozu na ziemię, podeszły do mnie dwie kobiety i zaprowadziły do swojego domu, gdzie nakarmiwszy mnie, ofiarowały nocleg. Było to przy ulicy Sobieskiego? Następnego rana jechaliśmy do Tarnowa i tam załadowaliśmy się do towarowego pociągu z jeńcami jadącym na zachód do Niemiec. Wtedy bodaj stałem się właścicielem solidnego koca ułańskiego, który ktoś porzucił. Tak dojechaliśmy do Krakowa., gdzie pocztowcy postanowili wysiąść i trzeba się było z nimi pożegnać. Straciłem nie tylko pomocnych bardzo towarzyszy, ale ponadto wspólną przepustkę, którą zabrali z sobą. Jechałem dalej sam, chłopak ledwo czternastoletni, w gimnazjalnym mundurku, z wojskowym kocem, ale bez żadnego dowodu osobistego wśród przygnębionych jeńców wojennych eskortowanych do obozów przez niemieckich konwojentów.

Sunący wolno pociąg zatrzymał się na szczęście na dworcu w Katowicach. Nie poznałem go zupełnie. Wszędzie wisiały niemieckie flagi i szwabachą czerniejące napisy *Kattowitz*. Udało mi się wyskoczyć na peron. Roilo się od niemieckich żołnierzy. Zbliżyłem się ostrożnie do wyjścia z dworca: żołnierz stał przy kolejarzu odbierającym bilety.

Nie miałem żadnego biletu. Zacząłem się kręcić w pobliżu przeszukując na próżno kieszenie. Namacałem proszek na ból głowy tzw "kogutek", którego opakowanie kolorem i wielkością nie różniło się tak bardzo od formatu kartonika biletu. Myśląc gorączkowo nad sposobem wydostania się na miasto, zauważyłem, że zbierający bilety robił to machinalnie i byle jak, mało zważając na wkładane mu do ręki bilety.

Nie namyślając się długo wszedłem między kilka osób i kiedy przyszła moja kolej, włożyłem proszek między bilety trzymane w dłoni przez nieuważnego kolejarza. Znalazłem się po drugiej stronie bariery i drutów kolczastych okalających perony. Byłem już w hali dworca, a kolejarz oglądając później zebrane bilety pewnie się raczej ucieszył znajdując proszek zamiast tekturki.

W lot zorientowawszy się w sytuacji wybiegłem na miasto. Po kwadransie pukałem do drzwi mieszkania wujostwa. Kończył się wrzesień. Wróciłem z niespodziewanego wojażu cały i zdrowy. Nie rozumiałem dobrze, jak to się wszystko stało i co znaczyło. Tuliłem mocno koc, w kieszeni miałem złoty zegarek i sześćdziesiąt złotych.

.